

Ostatnie lato w Maisons-Laffitte

Z Jerzym Giedroycem rozmawia Hanna Maria Giza*

Maisons-Laffitte. Połowa sierpnia 2000 r. Upał. Witraż z Pogonią, herbem Litwy, w oknie gabinetu rzuca zielone smugi na biurko pełne kartek, notatników, tekturowych teczek z dokumentami i wycinkami z gazet. Wszystkie starannie opisane. Na półkach z książkami portret marsz. Piłsudskiego i Matka Boska Ostrobramska w ramach.

Hanna Maria Giza: Kim się Pan naprawdę czuje?

Jerzy Giedroyc: Mam pewien sentyment do Litwy, prawda, ale ja się w ogóle czuję człowiekiem wschodnioeuropejskim. Gdyby ktoś mnie zapytał, co jest moją ojczyzną, to bym odpowiedział, że Wschodnia Europa. Czy to Warszawa, czy Mińsk, czy Wilno, czy Moskwa, to dla mnie właściwie zupełnie wszystko jedno. We wszystkich tych miastach czułbym się dobrze.

– *A co zapamiętał Pan z miast swojego dzieciństwa, swojej młodości?*

– To są tylko takie poszczególne obrazy – tam jednak chodziłem do szkoły. Ja byłem... jestem zawsze z datami bardzo niedobrze. Więc jak wybuchła rewolucja, to byłem wówczas w gimnazjum w Moskwie. Po wielu perypetiach udało mi się wrócić do Mińska, do rodziców. I tam przez rok chodziłem do polskiego gimnazjum prof. Massoniusa. Mińsk pamiętam bardzo dobrze. To jest miasto, które mnie się podobało do tego stopnia, że jak wróciłem do Polski, to po Mińsku Warszawa wydawała mi się bardzo prowincjonalna. No, bo w Polsce zastałem bardzo ciężką sytuację materialną. Ludzie chodzili w drewnianych chodakach. Mimo wszystko w Mińsku życie było na znacznie wyższym poziomie. Pamiętam takie zabawne rzeczy... Warszawa całkowicie mi nie zaimponowała po przyjeździe, kompletnie.

– *Gdzie Pan zamieszkał w Warszawie?*

– Najpierw to była ulica Marszałkowska, jak dzisiaj pamiętam, 81. Pierwsze mieszkanie, jak żeśmy przyjechali. Później - dopiero wtedy, kiedy mój ojciec został kierownikiem apteki przy szpitalu św. Łazarza na ulicy Książęcej, co było połączone i z mieszkaniem – przenieśliśmy się tam.

– *Na Książęcą.*

– Tak. Ten okres był dla mnie w ogóle bardzo ciekawy, dlatego, że to było gimnazjum Zamoyskiego, do którego chodziłem. Tak że Warszawa odegrała bardzo dużą rolę, jakkolwiek Warszawy – przyznam się – nigdy nie lubiłem. Właściwie lubiłem tylko Stare Miasto i tych parę punktów, gdzie pracowałem czy działałem, jak Sejm, jak kawiarnia Europejska, jak ministerstwo... Ale głównie Stare Miasto. Do tego stopnia, że jak po powstaniu warszawskim dowiedziałem się, że ten dom przy Brzozowej jest zniszczony – co okazało się tylko częściowo prawdą, bo był tylko ciężko uszkodzony – to miałem fizyczne poczucie, że coś tak pękło. Nigdy nie cierpiałem na nostalgię, a tu...

– *Ten dom przy Brzozowej, to było już Pana małżeńskie mieszkanie, prawda?*

– Tak, tak. Pierwsze moje mieszkanie samodzielne, że tak powiem, bo przedtem mieszkalem u rodziców, a tu nagle mogłem otrzymać, z dużym opóźnieniem... To nie było takie łatwe, bo nawet pracując w Ministerstwie Rolnictwa, czy przedtem jeszcze w Polskiej Agencji Telegraficznej, po prostu nie było mnie stać nawet na wynajęcie mieszkania. A że dostałem mieszkanie na Brzozowej, to tylko dzięki protekcji. To taki duży dom, nie pamiętam numeru, od

* Obszerne fragmenty ostatniej rozmowy z Jerzym Giedroycem, przeznaczonej dla mediów. Rejestrowała ją między 11 a 16 sierpnia 2000 r. Hanna Maria Giza, dziennikarka Programu III Polskiego Radia. Przedruk z miesięcznika «Przegląd Powszechny» (2001 nr 12, s. 289-308) za zgodą Redakcji «Przeglądu» i Hanny Marii Gizy.

Starego Rynku schodziło się tak poniżej i potem poziomo, w kierunku Wisły. Poza tym, taki zupełnie normalny dom.

– *Był Pan szczęśliwy w tym domu?*

– Wie pani, to było moje pierwsze mieszkanie, moje papiery, biblioteka, no i to wszystko zginęło. Żałuję bardzo dlatego, że nigdy nie prowadziłem dziennika, ale miałem taki zwyczaj, że każdego dnia robiłem notatki: co się działo danego dnia. Tak że to był materiał, który – jak sobie wyobrażałem – może kiedyś się przydać. I to wszystko zostało spalone. A część rzeczy, które moi rodzice zdążyli jeszcze po moim wyjeździe schować na Kanonii, tam był taki... no, miejsce, gdzie można było zdeponować w piwnicach, więc tam część mojej biblioteki i tak dalej, zdeponowano, ale po ich śmierci nikt się tym nie zajął i to też przepadło. [Rodziców Jerzego Giedroycia rozstrzelano w powstaniu warszawskim].

– *Czy ktoś próbował odszukać, dowiedzieć się, co się z tym depozytem stało?*

– Tak, ale można powiedzieć, że nie przejawiali zbyt wielkiej aktywności. Mniejsza z tym, to są moi przyjaciele, którzy mieli własne kłopoty, ale dosyć to zbagatelizowali...

– *Skoro mówimy o warszawskich czasach – dzisiaj jest 15 sierpnia, rocznica bitwy warszawskiej – czyli ten dzień, w którym Jerzy Giedroyc, jako 13-letni chłopak, postanowił pójść na wojnę...*

– No, skończyło się mniej bohatersko, zresztą nie byłem jedyny. W moim gimnazjum większość chłopców, może ze starszych klas, poszła do wojska i na front. Mnie wzięto jako telefonistę do Dowództwa Okręgu Generalnego i w tym charakterze tam funkcjonowałem.

– *Dlaczego Pan to zrobił?*

– Bo ja wiem, po prostu uważałem to za swój obowiązek. Zresztą byłem wtedy w harcerstwie, prawda, i to wszystko wpłynęło na to.

– *Czy już wtedy Józef Piłsudski był takim wielkim autorytetem dla młodego chłopca ?*

– Był wielkim. Ale dla mnie to był autorytet jeszcze z czasów mińskich, sprzed przyjazdu do Polski. Wtedy tam był bardzo duży kult Piłsudskiego wśród uchodźstwa polskiego w Rosji. Tak że to dla mnie była postać już zupełnie znana i bardzo wielki autorytet.

– *Za co przede wszystkim cenił Pan marszałka Piłsudskiego?*

– To trudno sprecyzować, ja go cenię za duży realizm. To jest człowiek, który z jednej strony wykorzystywał cały aparat romantyczny do bardzo konkretnej roboty i bardzo realistycznej. Po drugie, to jest człowiek, który brał na siebie odpowiedzialność, co jest bardzo rzadką cechą wśród Polaków. To był dla mnie mąż stanu. Ja byłem wtedy jeszcze bardzo młody, jeszcze w szkole. Pamiętam zabójstwo Narutowicza. Gimnazjum Zamoyskiego było takim bardzo endeckim, bardzo prawicowym gimnazjum. I ja się nie najlepiej czułem w tym towarzystwie. Pamiętam, były wielkie awantury, specjalnie po zabójstwie Narutowicza. Pamiętam to przemówienie Hallera – ohydne przemówienie – w Alejach Ujazdowskich. Ale jak był zamach majowy, to ja jednak poszedłem do Belwederu.

– *Po co?*

– Uważałem, że trzeba bronić legalizmu. Ja tam byłem bardzo krótko, chyba jakieś 24 godziny. Jak się tam dostałem, to dali mi jakiś tam karabin i kazali stać od strony Łazienek i zobaczyłem, jak to wszystko strasznie wygląda. Jak Grabski chodził do nas, łapał za rękę i tłumaczył: "Przecież my się nie utrzymamy!" Rozhisteryzowany zupełnie! W ogóle robiło to wrażenie jakieś takie bardzo niepoważne. To mnie wyleczyło, że tak powiem. Do tego stopnia, że ja jeszcze wówczas brałem udział w życiu korporacyjnym i byłem nawet prezesem korporacji "Patria" – zresztą bardzo śmiesznie, bo korporacji też prawicowej, endeckiej. Po zamachu

majowym ruch korporacyjny był bardzo związany z 36. pułkiem Legii Akademickiej. Zamach majowy wywołał straszny antagonizm między korporantami a tym pułkiem, dlatego że wielu korporantów zginęło na lotnisku – 7 czy 8 osób zabitych czy zamordowanych. Korporacje zawsze brały czynny udział w święcie pułkowym. No i w 1926 r. to nie wchodziło w rachubę. W 1927 r., kiedy byłem prezesem wszystkich korporacji warszawskich, postanowiłem te rzeczy uregulować. Udało mi się doprowadzić do tego, że korporacje zdecydowały, że jednak wezmą udział w święcie pułkowym. Udało mi się doprowadzić do jakiejś normalizacji, zneutralizowania stosunków.

– *Jak to jest, Panie Redaktorze – formację przeszedł Pan w środowiskach endeckich: szkoła endecka, korporacje prawicowe...*

– No, wie Pani, w ruchu korporacyjnym byli różni ludzie. Między innymi cały szereg – jak Jan Pożaryski – ludzi, którzy przyjechali z Petersburga. To byli Polacy z Rosji, z którymi byłem bardzo zaprzyjaźniony, którzy myśleli zupełnie innymi kategoriami niż polscy endecy. Tak samo w szkole – w tym całym towarzystwie endeckim w klasie, no jednak było parę ludzi jak Staś Niemyski, później znany socjalista, czy coś takiego, z którym tak samo byłem zaprzyjaźniony, czy powiedzmy syn Boya-Żeleńskiego [Stanisław], jeden z moich wielkich przyjaciół z okresu szkolnego - stworzyłem sobie po prostu własne środowisko.

– *Czy któraś z tamtych przyjaźni przetrwała, czy była jakaś – jak się to mówi – dozogonna przyjaźń?*

– To trudno powiedzieć dozogonna – nie dozogonna, dlatego że miałem takie przyjaźnie jak np. Jan Pożaryski. Niestety, on zginął w czasie okupacji. Bardzo dużo mu zawdzięczam. On prowadził Wydział Zagraniczny Polskiego Związku Młodzieży Akademickiej i wciągnął mnie do roboty, która mnie wtedy pasjonowała, dlatego że mogłem dotknąć tego ruchu międzynarodowego, studenckiego. I tam zetknąłem się również z organizacjami młodzieżowymi rosyjskimi, serbskimi itd.

– *W którymś z wywiadów powiedział Pan, że cała polityka polegała na tym, że paru smarkaczy siedziało w kawiarni, piło wódkę i podejmowało decyzje państwowe.*

– To już jest zupełnie inna historia. To są rzeczy, które odegrały dużą rolę w moim życiu. Mianowicie poznałem Stanisława Zaćwilichowskiego [oficer Drugiego Oddziału w Wilnie], który był jedną z najwybitniejszych chyba postaci w Polsce. Bardzo dużo mu zawdzięczam: z jednej strony pewien wzór działalności, z drugiej strony wiele kontaktów. To są takie dosyć zabawne historie, dlatego że ich było takich dwóch – był Nulek Karczewski, też peowiak, oficer Drugiego Oddziału, odkomenderowany do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z którym się tak samo zaprzyjaźniłem. I dzięki nim poznałem masę ludzi z tego światka. Ja pracowałem wtedy w Pacie, przy Radzie Ministrów i Zaćwilichowski mnie zrobił sekretarzem ministra rolnictwa, Janty-Półczyńskiego. To był ziemianin z Pomorza – bardzo ciekawy i przyzwoity człowiek – który nie miał zielonego pojęcia o Warszawie i o tym, jak wygląda warszawskie życie polityczne. I ja byłem takim jego mentorem, że tak powiem, to znaczy takim urzędnikiem politycznym, który z nim współpracował.

I wtedy Zaćwilichowski, który miał duży talent organizacyjny, stworzył taką organizację, co się najpierw nazywała Klub Złośliwych Szczeniaków. Polegało to właśnie na tym, że się siedziało w jakimś barze, piło wódkę i prowadziliśmy politykę. Ta polityka polegała po prostu na tym, że to byli głównie młodzi ludzie, sekretarze ministrów. Tak że można było w ten sposób manewrować, pewne rzeczy popierać, sugerować coś swoim ministrom czy przełożonym. To była bardzo pożyteczna robota. Potem to się przekształciło w organizację bardzo poważną – zresztą już po śmierci Zaćwilichowskiego – w Zakon Nieznanego Żołnierza. Tam należało już wielu ludzi z MSZ-u, z wojska, z samorządu. I tu już próbowaliśmy robić jakąś dużą politykę.

– *Nie wciągnęło to Pana? Nie chciał Pan zająć się polityką, objąć jakąś funkcję, która dawała władzę?*

– Nie, nie. Mnie polityka pasjonowała cały czas, ale ja jestem człowiekiem, który lubi chodzić własnymi drogami. To mi pozwoliło stworzyć takie pismo jak "Bunt Młodych" czy później "Polityka" – to były takie jakby początki "Kultury". Tutaj miałem ambicje polityczne, ale myślałem o działalności samodzielnej. Dlatego 1939 r. był dla mnie prawdziwą katastrofą, ponieważ cały szereg rzeczy było obliczonych i już przygotowanych na 1940 r. Przede wszystkim przekształcenie mojego pisma w pismo codzienne. Myślałem, że rzucę pracę w ministerstwie i będę mógł się zająć tylko tym. To było zupełnie realne dzięki moim przyjaciołom, jak Roger Raczyński, który miał duże wpływy w środowisku poznańskim. Taki np. Związek Cukrowników – to była jedna z najbogatszych instytucji w Polsce, oni mieli własną drukarnię na ulicy Mazowieckiej i od nich uzyskałem roczny kredyt. Tak, że miałbym start bardzo ułatwiony, w sensie finansowym. W Polsce, przy tamtym układzie, można było załatwić masę rzeczy. Dla mnie było ważne i ciekawe to, że wszędzie się miało jakichś przyjaciół, wszędzie miałem dojścia, prawda. I mogłem pewne rzeczy załatwiać i na pewne rzeczy wpływać.

– *No i te Pana związki w konsekwencji doprowadziły do tego, że w 1939 r. znalazł się Pan w Bukareszcie.*

– Do Bukaresztu wyjechałem razem z ministerstwem, razem ze swoim ministrem Antonim Romanem. To było normalne. Ambasadorem w Bukareszcie był Roger Raczyński, wielki mój przyjaciel jeszcze z dawnych czasów. Ja sobie wyobrażałem, że przez Rumunię tylko przejeżdżam, jadąc do wojska.

– *Myślał Pan o tym, czy to ma sens, że wyjeżdżacie z Polski, że opuszczacie kraj ?*

– Muszę Pani powiedzieć, że co do przebiegu kampanii wrześniowej nie miałem żadnych złudzeń. Ale wtedy nie bardzo się nad tym zastanawiałem. Wyjechałem, bo miało być tworzone wojsko – to były decyzje jeszcze Rydza-Śmigłego. Raczyński zatrzymał mnie w Bukareszcie dlatego, że tam była zwyczajna ambasada, zupełnie nieprzygotowana do tego wszystkiego. Zawalona nie tylko morzem uchodźców, ale także całą tą problematyką: "Co należy robić?". A właściwie należało wszystko na nowo reorganizować.

– *Czym zajmował się Pan w Bukareszcie?*

– No, najważniejsze w Bukareszcie to była kwestia uporządkowania – nie tylko kwestia zapewnienia ciągłości władzy, ale przede wszystkim nawiązania współpracy i roboty na kraj. Roger Raczyński zatrzymał mnie jako swego prywatnego sekretarza i zostałem tam, żeby prowadzić jakąś robotę na Polskę. I wtedy był ten dziki polski zwyczaj, wszyscy moi przyjaciele z "Buntu Młodych" – Adolf Bocheński, bracia Pruszyńscy itd., poszli do wojska. Dostawałem od nich takie dramatyczne listy, dlaczego ja me przyjeżdżam, dlaczego ja też nie idę do wojska. Powiedziałem: "Przede wszystkim ja się nie potrzebuję z niczego usprawiedliwiać. Z drugiej strony – wojna potrwa dosyć długo – ja mam w tej chwili bardzo ciekawą i ważną robotę. Jak skończę tę robotę, to pójdę do wojska, tymczasem beze mnie doskonale się obejdziecie. Oficerów i tak jest za dużo". Oni to uważali z mojej strony za jakieś takie wybiegi, a trzeba podchodzić do tych rzeczy realistycznie. I rzeczywiście, z chwilą kiedy musiałem opuścić Rumunię – ostatecznie zawsze mogłbym sobie znaleźć jakąś posadkę czy coś takiego – dla mnie było to zupełnie proste – pójście do wojska.

– *Ale dopiero wtedy, kiedy sam pan uznał, że to już jest ten czas.*

– Tak, tak, że już nie mam nic do roboty, prawda.

– *Kto kształtował Pana światopogląd, Pana postawę społeczną, Pana religijność? Kto miał wpływ na Pana formację?*

– To jest bardzo trudno powiedzieć. Ja właściwie – jak by tu Pani powiedzieć - ja w pewnym sensie przypominam pająka. Mam tę swoją pajęczynę i z tych, których w nią łapię, to wypijam krew. To znaczy, ja po prostu tych ludzi wykorzystuję, uczę się, kształtuję. Wpływ na formowanie moich poglądów, ocen czy stosunku do różnych spraw jest rezultatem kontaktów z dziesiątkami ludzi. Powiedzmy, mój stosunek do religii – ja miałem różne okresy w swoim życiu. Miałem taki okres - można powiedzieć mistyczny, nie mistyczny – no, jedną nogą byłem w zakonie jezuitów. Do tej pory z sentymentem przypominam sobie to lokum na Świętojańskiej koło katedry. Tam jest takie małe lokum jezuitów i tam chodziłem, tam był taki czarujący i bardzo inteligentny przeor. On mi zresztą wytłumaczył, że to nie ma sensu...

– ...że się Pan nie nadaje na jezuitę...

– Nie, nawet nie to, on powiedział mi, że uważa, że ja się nie nadaję, ale wie Pani, to niczego nie dowodzi. Niech Pani weźmie ojca Bocheńskiego [Józefa], który jest jednak bardzo wybitnym dominikaninem, filozofem. Przecież on poszedł do zakonu z powodów czysto prywatnych, dlatego że jakaś narzeczona z nim zerwała. Był właściwie człowiekiem zupełnie niewierzącym. Dopiero w zakonie jego uformowano czy też on się uformował.

– Czyli – w przypadku ojca Bocheńskiego – dokonała się jakaś transformacja religijna.

– Tak.

– Jeżeli to zbyt intymne pytanie, może Pan nie odpowiadać. Jeśli Pan zechce – będę wdzięczna... Czy czuje się Pan związany z religią, jaką religią... czy wierzy Pan w Boga?

– W Boga wierzę. I muszę powiedzieć, że z religią jestem związany ze względu nawet na tradycje rodzinne. One są jednak też związane ze wschodem. Moi przodkowie składali się przede wszystkim z wojskowych i biskupów. A jeżeli Pani weźmie tę Madonnę Giedroyciową – no, to jest właściwie Madonna wschodnia.

– Dlatego u Pana Matka Boska Ostrobramska na półce z książkami?

– O, Matka Boska Ostrobramska – ma się rozumieć! Uważam, że istnieje tylko Matka Boska Ostrobramska. Broń Boże nie ta okropna Częstochowska...

– Dlaczego "okropna"? Jest piękna.

– Jest piękna, ale ja nie mam sentymentu. Do Matki Boskiej Ostrobramskiej mam sentyment! Ile razy – zresztą niezbyt często – byłem w Wilnie, to było rzeczywiście dla mnie, no, koniecznością, pójście do Ostrej Bramy.

– Czy to znaczy, że Pan się czasami modli?

– Rzadko. Ale modlę się.

– Powiedział Pan, że wiele osób wpłynęło na formację, na ukształtowanie Pana. Nie wspominał Pan o rodzicach.

– Dla mnie przede wszystkim to była kwestia matki, do której byłem bardzo przywiązany. Chłodniejsze stosunki były z ojcem. Nie to, że złe – ale chłodniejsze. Dom, ma się rozumieć, na mnie też wpływał, ale jeżeli idzie o ludzi, którzy mnie rzeczywiście kształtowali, to się zaczęło chyba dopiero na uniwersytecie.

– Czyli kto? Koledzy, wykładowcy?

– Jedni i drudzy. Na uniwersytecie np., przy okropnych profesorach, bardzo duży wpływ wywarł na mnie Petrażycki [Leon – socjolog, filozof prawa]. Mimo że jego wykłady nie były obowiązkowe na wydziale prawnym, to ja bardzo je śledziłem. No, a poza tym te kontakty polityczne. Niewątpliwie człowiekiem, który w pewnej mierze był dla mnie wzorem, był

Staszek Zaćwilichowski, którego bardzo ceniłem i bardzo dużo mu zawdzięczam, jeśli chodzi o styl pracy. I to jest człowiek, który mnie w to życie polityczne wprowadził.

– *A Pana przełożeni w ministerstwie?*

– Jeśli idzie o ministerstwo – może było paru ludzi, jak prof. Lipiński z Biura Koniunktur Gospodarczych – ale właściwie moja rola polegała na tym, żeby być szarą eminencją swoich ministrów. Tak że to raczej ja ich wprowadzałem w życie polityczne, niż oni mnie. To byli ludzie tacy jak Janta-Połczyński – ziemianin z Pomorza, który odgrywał dużą rolę w zaborze zachodnim. Bardzo ciekawy człowiek, bardzo przyzwoity, ale nie miał zielonego pojęcia o Warszawie. Ani jak wygląda życie polityczne warszawskie. Więc ja byłem takim trochę jego mentorem, że tak powiem, bo on w Warszawie był bardzo zagubiony. Dla niego ja byłem w pewnych sprawach autorytetem. On zresztą mówił, że ja wiem wszystko. Miałem z nim bardzo dobre stosunki. Zresztą, to był człowiek z charakterem. Jedyny człowiek, który na Radzie Ministrów potrafił się sprzeciwiać Piłsudskiemu. Były jakieś dyskusje na temat cła na zboże, czy coś takiego, no i wnioski Połczyńskiego zostały odrzucone. Połczyński trzasnął teczką o stół i powiedział: "To ja w takim razie wychodzę!" Skończyło się tak, że wygrał. Bardzo zabawne i takie typowe dla Piłsudskiego było to, że siedział okrakiem, pochylony, oparty na odwróconym krześle, miał głowę spuszczoną na ręce i tak patrzył jednym okiem na tego, z którym rozmawiał.

Piłsudski był niewątpliwie czarownikiem, o czym się sam kiedyś przekonałem. Jeszcze wtedy byłem przy Radzie Ministrów i kończył się okres dekretowania – wtedy była ta wojna z Sejmem – i okazało się, że są jeszcze dwa, trzy dekrety nie podpisane przez Piłsudskiego. A trzeba to było koniecznie zrobić przed sesją sejmową, która była następnego dnia. No więc Zaćwilichowski mówi: "Jedź z tym, żeby Wenda [Zygmunt – legionista, adiutant Piłsudskiego, szef sztabu OZN, poseł] dał Marszałkowi do podpisania". Ja przyjeżdżam do Belwederu, a Wenda mówi: "To jest zupełnie wykluczone, bo Marszałek czaruje".

Dzwonię do Zaćwilichowskiego – niesłychana awantura, jeszcze Bartel [Kazimierz – matematyk, profesor Politechniki Lwowskiej, premier 1929-1930] włącza się w ten telefon i naciskają na tego Wendę w sposób niesłychany i Wenda się zgadza. Idzie – to było na parterze – przeżegnał się i otworzył drzwi. Ciemny pokój – ja widziałem jakieś światło, ale to był kominek – i atmosfera naładowana jakąś elektrycznością. To się po prostu fizycznie czuło. Nie widziałem Piłsudskiego, bo było tak ciemno, poza tym kominkiem, ale rzeczywiście wtedy zrozumiałem, że Wenda bał się tam wejść.

– *I nikt nie wiedział, co się tam naprawdę działo?*

– Nie, nie wiadomo. Siedział, rozmyślał, stawiał pasjansa, bo ja wiem co? Miał takie chwile...

– *I to się nazywało "Marszałek czaruje"?*

– Tak. Są ludzie, którzy mają tego rodzaju właściwości jakieś takie magnetyczne.

– *Czy ten "urok", który "rzucił" na Pana Piłsudski, trwa do dzisiaj?*

– Nie, nie. "Urok" to jest może za dużo powiedziane. Mój stosunek do Piłsudskiego jest również i krytyczny. Baza moja - wyjście moich poglądów – to jest Piłsudski, ale w jakiś sposób zreformowany. Moje koncepcje w polityce wschodniej tym się różnią od koncepcji Piłsudskiego, że ja nie stawiam na żadne federacje. Dla mnie już kwestia niezależności krajów wschodnioeuropejskich jest zupełnie wystarczająca. Piłsudski nie doceniał trudności. Nie doceniał tego, że te narody wschodnie się nas boją.

– *Czego się boją?*

– Naszego imperializmu.

– *A czy poza Polską byli także jacyś ludzie, którzy mieli wpływ na Pana?*

– W dużym stopniu, niewątpliwie, wpływ miał na mnie Józef Czapski. Jako człowiek. I jego postawa. Wtedy byłem już po Tobruku, w bardzo złej formie psychicznej i on przyjechał do mnie do Mosulu namawiać, żebym przyszedł do niego, do Propagandy. I ja to wtedy odrzuciłem. Potem ja do niego pojechałem. I pamiętam jakąś taką przegadaną noc, niesłychanie gwałtowną. To znaczy, ja chyba po raz pierwszy w życiu byłem tak wielomówny i tak gorzki w ocenie sytuacji. Ta noc dyskusji z nim bardzo wiele rzeczy przełamała. I ta przyjaźń była dla mnie wielką rzeczą, i to się, niestety, potem skończyło.

– *Przyjaźń się skończyła?*

– Nie, przyjaźń została. Ale już nie w tym stopniu. Może dlatego, że ja jestem zanadto... no, chciałem monopolizować. Po prostu, przyjazd jego siostry Maryni, która była dla niego bardzo bliską osobą, a była jednocześnie niesłychanie zazdrosna o Józia. Tak że to się bardzo odbijało. Czy Józio tutaj dłużej siedział, czy ktoś... Jego inne siostry były bardzo miłe – bardzośmy lubili panią Różę – ale jak one tu siedziały, to zawsze był taki cienki głos: "Józik, gdzie jesteś! Dlaczego nie przychodzisz?!"

– *I to była Marynia?*

– Marynia.

– *Czyli jednak jakaś kobieta miała wpływ na Pana stosunki z innymi ludźmi.*

– Nawet nie... Po prostu zakłóciła to. Zakłóciła.

– *A kto był największym Pana przyjacielem z tamtych czasów?*

– No, niewątpliwie Roger Raczyński. Niezwykle interesująca postać, wielka inteligencja. Był potem ambasadorem Rzeczypospolitej w Bukareszcie.

– *A Mieroszewski ?*

– Mieroszewski to był partner. Myśmy wzajemnie na siebie oddziaływali.

– *Ale to była przyjaźń z Mieroszewskim?*

– O tak! No i jedna rzecz, która jest dla mnie najważniejsza to jest lojalność. To, co najbardziej cenię u ludzi – a co jest najrzadsze – to jest kwestia lojalności.

Jeśli idzie o Mieroszewskiego, to byłem jego całkowicie pewien. Nigdy nie miałem cienia obawy. A np. z Józiem – przy dobrych stosunkach – był taki konflikt. Mieroszewski napisał kiedyś o Kongresie Wolności Kultury, że to jest cyrk, i bardzo ostro ich zaatakował. Bardzo się za to obraził Kot Jeleński i zmobilizował Józia. Józio postawił to na ostrzu noża i powiedział: "jeżeli tego nie wycofasz, to ja wyprowadzam się z Maisons-Laffitte!" No, a ja się uparłem i powiedziałem, że nie wycofuję. To się potem rozeszło po kościach, ale Józio robił jakieś takie gesty, powiedział, że się wyprowadza. Można zapytać: dokąd, prawda? Praktycznie biorąc, był to okres, kiedy Józio żył z "Kultury", ale to były momenty rzeczywiście bardzo przykre. Nagle człowiek, którego się lubi czy nawet kocha, w pewnym momencie idzie przeciwko mnie, nie mając racji. Przynajmniej w moim przekonaniu nie mając racji.

– *Czy ktoś okazał się naprawdę nielojalny wobec Pana? Czy ktoś Pana zawiódł?*

– No, jest jedna rzecz, która była dla mnie rzeczywiście bolesna. To był człowiek, do którego byłem bardzo uczuciowo przywiązany – to jest kapitan Niezbrzycki-Wraga. Człowiek, któremu dużo zawdzięczam, jeśli idzie o znajomość Rosji i te wszystkie historie. Człowiek bardzo dla mnie bliski, a jednak doszło do bardzo ostrego spięcia między nami. To znaczy, ja bardzo nie lubię, jak ktoś chce traktować mnie jak narzędzie, że tak powiem. Ja mogę to robić, ale nie ktoś w stosunku do mnie, prawda?

On jeździł np. do Niemiec i chciał jeździć jako reprezentant "Kultury" czy coś takiego. Powiedziałem – absolutnie nie, żadnych takich. Jedziesz pan jako pan Niezbrzycki, możesz

zrobić takie czy inne artykuły, ale nie jako przedstawiciel. No, a potem doszła sprawa Miłosza. Po prostu Wraga od razu, z miejsca powiedział, że Miłosz jest agentem sowieckim. To jest wtyczka. I z tego powodu Miłosz miał ogromne trudności. Gdy wybrał wolność – miał żonę w Stanach Zjednoczonych, świeżo po bardzo ciężkim porodzie, w bardzo trudnej sytuacji materialnej – to Amerykanie odmawiali mu wizy na skutek donosu Wragi, który miał znajomych w ambasadzie. No i doszło do awantury między nami. To znaczy ja pojechałem do niego i powiedziałem: "No, dobrze. Jakie masz dowody agentury Miłosza?" A on powiedział: "Oto mój nos!" No, to ja wtedy wstałem i wyszedłem. I to był koniec. Nie jestem człowiekiem specjalnie sentymentalnym, ale takie rozstania z ludźmi przeżywam dosyć ciężko.

No, i druga osoba, o której w ogóle wolałbym nie mówić na innym tle – to jest Herling-Grudziński, który jest człowiekiem bardzo nie... Nie zawsze się między nami stosunki dobrze układały, ale nie przypuszczałem, że jego stosunek jest... no, stosunek do nas jest tak wyrachowany. Cała jego akcja polegała na zafirmowaniu "Kultury" – tłumaczeniu, że "Kulturę" to on stworzył i właściwie wszystko jemu zawdzięcza. Niewątpliwie dążył do tego, żeby po prostu objąć "Kulturę" po mojej śmierci. Tego bynajmniej nie ukrywał. I to było dosyć nieprzyjemne. Nieprzyjemna historia, ale nigdy nie było jakiegoś uczuciowego stosunku między nami, głębszej przyjaźni. Była przyjaźń po prostu, ale przyjaźń nie największa. Co więcej można powiedzieć... Stosunki z ludźmi to są sprawy bardzo skomplikowane. Ja praktycznie ludzi nie lubię. To znaczy – boję się ludzi. Ja jestem człowiekiem bardzo kameralnym. Nie znoszę jakichś większych zebrań, czy coś takiego, po prostu źle się czuję. Nie umiem się nawet odpowiednio zachować. Dla mnie dwie, trzy osoby to jest maksimum, co wytrzymuję.

– *Przecież nie zawsze tak było?*

– Tak. To się zmieniło. W dużym stopniu to się zmieniło w Rumunii. Przed wojną, mimo wszystko, prowadziłem jakieś życie towarzyskie. Bawiło mnie chodzenie na jakieś bale, do kawiarni, do teatru, jakieś takie bezinteresowne przyjemności. Bardzo zabawne – i to było właściwie częścią mojej roboty – ja cały czas "wisiałem na telefonie". Dzisiaj nie znoszę telefonu! Nie lubię rozmów telefonicznych ani dzwonka telefonu – po prostu jakieś takie dziwne zahamowanie, jakiś ślad. Po prostu te przejścia w Rumunii były dla mnie bardzo ciężkie. To była cała akcja zorganizowana przez ludzi Sikorskiego – to jest przez prof. Stanisława Kota – którzy za wszelką cenę chcieli mnie skompromitować. Były jakieś próby prowokacji, że biorę jakieś łapówki za dawanie wiz, coś takiego. Takie historie miały charakter bardzo nieprzyjemny.

– *Ale dlaczego chcieli Pana skompromitować?*

– Dlatego, że oni sobie wytłumaczyli w Londynie czy przedtem Paryżu – Kot i Sikorski – że jest jakaś mafia piłsudczykowska, jakiś tajny rząd piłsudczykowski. I że ja jestem reprezentantem tego rządu i pilnuję ambasady. Byłem dla nich potencjalnym zagrożeniem, mimo że z mojej strony nie było żadnej agresji. Rozumiem, że Kot mógł mieć do mnie pretensje dlatego, że jeszcze w "Buncie Młodych" był taki artykuł Leona Kozłowskiego, tego wicepremiera, na temat polskiej masonerii, gdzie wymieniał on z nazwiska ludzi, których uważał za masonów. No i właśnie Kota, Strońskiego (Stanisława – wicepremier i minister informacji 1939-1943] i jakichś innych. I oni mi wytoczyli wtedy proces. Proces, który zresztą dzięki złemu adwokatowi przegrałem. No, a Kot nigdy nie mógł mi tego darować, że go oskarżałem o masonerię.

– *I jak Pan sobie poradził z tą całą aferą?*

– No, jak przyszła wojna, to po prostu przyszło. Jedynek człowiek, który zachował się bardzo przyzwoicie, to był Stroński. Kiedy Maja Prądzyńska pojechała do Londynu, to Stroński ją tam zatrudnił. Stroński był bardzo poczciwy. To, że ona była w "Buncie Młodych", który go oskarżał, nie odgrywało żadnej roli. Zachował się bardzo przyzwoicie, bo potem były naciski na

niego, jak to tak – taka "sanatorka" w ministerstwie, jak można takie rzeczy tolerować, a on jej bronił i wybronił. I ona tam została.

A z Kotem jedyna wtedy rozmowa odbyła się, gdy był on w Bukareszcie. Byliśmy na kolacji w barze Italo Romeno, jak dziś pamiętam, gdzie starałem się wytłumaczyć Kotowi konieczność zmiany pokoleń, że trzeba coś zmienić. Trzeba zacząć od wojska. Trzeba wyciągnąć młodych ludzi – to, co zresztą zawsze Ksawery Pruszyński wysuwał – ta zamiana pokoleniowa jest niezbędna. Inaczej nic z tego nie wyjdzie. Kot tego wysłuchał i powiedział tak: "Proszę pana, młodzi pójdą do wojska, a politykę to będziemy robili my". I na tym się rozmowa skończyła. To zresztą był sympatyczny człowiek. I najśmieszniejsze, że potem z tego wroga, który mnie tępił niesłuchanie – ta prowokacja w Bukareszcie, szykany w wojsku – jak poszedłem do wojska, to mi dali spokój. Uważali wojsko za takie trochę zesłanie. Ale jednak mnie pilnowali – jak objąłem prasę i wydawnictwo, to Kot przysłał całe moje *dossier* Andersowi – jakiego to strasznego człowieka ma. No, ale potem Kot w latach, no, późnych już latach, był człowiekiem schorowanym, był tutaj w Paryżu w bardzo ciężkich warunkach. Był w hotelu, no, w tym, w którym się zawsze zatrzymywał, i po prostu nie miał pieniędzy. Tak że ja kiedyś pojechałem, zaprosiłem go do nas, zapłaciłem za ten hotel i wziąłem walizki, które były bardzo cenne, bo były w nich dokumenty. Zwoził jakieś ogromne ilości rozmaitych książek ze swoich specjalności naukowych. Tak że potem te stosunki osobiste ułożyły się bardzo dobrze.

Jest jedna rzecz, która jest u mnie – nie umiem Pani powiedzieć – ale to nie jest żadna rzecz, która świadczy o mnie pozytywnie, czy nie pozytywnie, to jest taka dziwna cecha. Ja bardzo lubię sprawy ludzi przegranych. Z chwilą, kiedy Kot poszedł na dno, to uważałem, że trzeba mu pomóc. Już przestawał być wrogiem. To samo było ze Śmigłym, nawet próbowałem organizować jakieś bunty przeciwko niemu. Ale jak był w tym Dragoslavele, uważałem za swój obowiązek pomóc mu w tej ucieczce. Żeby facet wyszedł z honorem z tego interesu.

– *Czy w tym całym wojennym zamieszaniu Polacy zachowywali się w miarę przyzwoicie czy nie?*

– Nie. Nie. Dlatego, że od razu rozpoczęły się rozgrywki partyjne i personalne. No i okropna historia, okropna polska cecha, to jest pisanie donosów. Pamiętam, były takie konferencje w konsulacie angielskim w Bukareszcie, w których z ramienia Raczyńskiego brałem udział, i tam dyskutowano jakieś bieżące sprawy, między innymi sprawę złóż naftowych w Ploiesti. Było wielkie niebezpieczeństwo, żeby to nie wpadło w ręce niemieckie i Anglicy zastanawiali się, czy zniszczyć czy w jakiś sposób zabezpieczyć. I ten, no, nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć nazwiska tego konsula – mam takie zatrzaski pamięci – bardzo zresztą niesympatyczny facet – mówi: "Wielki kłopot jest ze znalezieniem informatorów w Rumunii. Z wyjątkiem jednych – Polaków". I pokazał taki stos – tak w rogu pokoju rzucone – taki stos papierów. Mówi: "To są polskie donosy, które ciągle dostaję". Takie donosy, że ktoś tam ukradł, ktoś nie oddał. Obrzydliwe, obrzydliwe to było. To jest taka bardzo nieprzyjemna historia.

– *A jaki obraz Polski został Panu w pamięci, kiedy już opuścił Pan kraj ?*

– Przy bardzo negatywnych historiach, najgłupszej polityce narodowościowej, która była katastrofalna, to jeszcze była fatalna polityka gospodarcza. Wyglądalibyśmy znacznie lepiej, gdyby nie Kwiatkowski (Eugeniusz, wiceminister skarbu]. Kwiatkowski bronił złotego, wysokiego kursu złotego. Mieliśmy doskonale działka ppanc. i przeciwlotnicze, któreśmy produkowali. Jedne z najlepszych wtedy w Europie. Mieliśmy ciekawe osiągnięcia lotnicze. Nie można było tego kontynuować, bo nie było pieniędzy. A te zarzuty, że sprzedawaliśmy za granicę – to szło o zdobycie pieniędzy na jakąś dalszą produkcję. Kwiatkowski prowadził fatalną politykę. Naszym zdaniem trzeba było doprowadzić do inflacji. Po prostu zrobić inflację złotego za wszelką cenę, aby rozkręcić przemysł zbrojeniowy. A ten się niesłuchanie bronił. Tam były takie idiotyzmy, że pokrycie w banku polskim złotego było oparte tylko na złocie.

Nie brali pod uwagę np. dewiz. To była fatalna polityka. A na pewnych odcinkach byliśmy naprawdę dobrze przygotowani i mogliśmy stawiać skuteczniejszy opór.

A druga rzecz, która też odgrywała dużą rolę, to brak poczucia odpowiedzialności. Pamiętam moją rozmowę ze Śmigłym - jak mówiłem, bardzo lubię sprawy przegrane i pomaganie ludziom przegranym – Śmigły mnie wtedy bardzo zainteresował jako człowiek. Brałem dosyć znaczny udział w jego ucieczce z Bukaresztu i wiele razy do niego jeździłem – do Dragoslavele, gdzie był internowany – i właśnie pytałem go, dlaczego nie skrócono frontu. Dlaczego broniono tego korytarza itd. Przecież było jasne, że trzeba skrócić front i oprzeć na Wiśle. I wie Pani, prawie dosłownie to powtarzam, on mówi: "Niech mnie pan nie uważa za idiotę. Ja sobie z tego doskonale zdawałem sprawę, ale nigdy by mi naród polski nie wybaczył, gdybym pół Polski oddał bez wystrzału". On się bał opinii publicznej! Takich skrupułów na pewno Piłsudski by nie miał.

– *A co zrobiłby Piłsudski w takiej sytuacji ?*

– To bardzo trudno powiedzieć. Przede wszystkim, osobiście przypuszczam, że gdyby żył Piłsudski i byłby w dobrym stanie zdrowia, to nie byłoby wojny 1939 r.

– *To interesujące. A na czym Pan opiera to swoje przeświadczenie?*

– Na dużej ostrożności Piłsudskiego. To znaczy Piłsudski na pewno nie zadowoliliby się traktatem przyjaźni polsko-angielskiej i starałby się grać maksymalnie na zwłokę. Tym bardziej, że – musi Pani wziąć pod uwagę – 1940 r. to był krytyczny moment dla inwestycji, wojska itd. Było cały szereg rzeczy już zaprogramowanych, które miały być realizowane w 1940 r. I nie wykluczam, że Piłsudski może by poszedł nawet na ustępstwo w sprawie autostrady, na ten korytarz, czy może nawet na oddanie Gdańska. No, nie wiem, ale tu jestem przekonany, że wyglądałoby to zupełnie inaczej.

– *A więc jednak jednostka decyduje o losach świata.*

– Niewątpliwie tak. Roli jednostki nie można bagatelizować. Ja sam zresztą mam usposobienie bardzo awanturnicze. Mianowicie po śmierci Piłsudskiego stawiałem bardzo na Rydza-Śmigłego i bardzo szybko się rozczarowałem.

– *Dlaczego?*

– Dlatego, że jego kontakty z endekami, z Piaseckim, cała akcja Koca – to było zupełnie katastrofalne. Pamiętam pewną rozmowę w mieszkaniu Rogera Raczyńskiego. Ja wtedy miałem dobre kontakty z młodzieżą narodową – ONR ABC oraz jakimiś innymi organizacjami, które bardzo cenilem. To byli zupełnie inni ludzie niż Piasecki i cały PAX – m.in. Pożaryski do tego należał itd. Miałem z nimi bardzo dobre kontakty i chcieliśmy jakoś te rzeczy uporządkować. Kiedy więc spotkaliśmy się u Rogera Raczyńskiego z Sosnkowskim [Kazimierz, generał, Naczelnny Wódz, 1938-1941], to ja go po prostu namawiałem na zamach stanu.

– *Jak Pan to sobie wyobrażał?*

– Bez żadnej strzelaniny czy coś takiego! Po prostu taki "pałacowy" zamach stanu. Można było zmobilizować wojskowych przyjaciół i zwolenników Sosnkowskiego wśród legionistów i cały ten ruch młodzieżowy niewątpliwie by tę robotę poparł. To było do zrobienia.

– *Czy powrót Rydza-Śmigłego z Rumunii do Polski na początku wojny – w którym przecież Pan mu pomógł – to była jego męska decyzja?*

– To była jego decyzja. I rzeczywiście tu szedł z całą świadomością i determinacją. Bez żadnych jakichś ambicji, czy coś takiego. Rzeczywiście, on chciał się bić! Dla mnie to było zrozumiałe. On wziął sytuację z I wojny światowej z tym królem belgijskim: bitwę się przegrało, wojnę się kontynuuje i trzeba ją prowadzić. Ale intrygi Sikorskiego i Francuzów wszystko uniemożliwiły. To był bardzo zdolny generał, myślę, że jeden ze zdolniejszych

wojskowych. Żaden polityk! Człowiek, który miał bardzo słabe – fatalne wręcz – otoczenie! Jacyś Sułowscy, nie Sułowscy – bardzo nieciekawe towarzystwo. I tu już jest wina Mościckiego, który go zrobił marszałkiem. Na dodatek ten głupi Sławoj, który go zrobił drugą osobą po prezydencie, jakieś takie rzeczy, które mu po prostu przewracały w głowie. Nawet nie można powiedzieć, że przewracały w głowie, dlatego że to był człowiek dosyć skromny. No, ale niestety, na wysokości zadania nie stanął!

– *Wieść o wybuchu powstania warszawskiego zastała Pana we Włoszech. Jak Pan ją przyjął?*

– To nie było zaskoczenie. Wszyscy o tym wiedzieli doskonale. Otoczenie Andersa i tak dalej, wszyscy byli dokładnie poinformowani o tych wszystkich wahaniach i hamletyzowaniu Sosnkowskiego. I wtedy pojechałem do Rzymu, żeby się rozmówić z Sosnkowskim i miałem tę dramatyczną z nim rozmowę.

Sosnkowski to jest człowiek, którego dosyć dobrze znałem. I jakby to Pani powiedzieć: to jest Hamlet – człowiek, który nie potrafi podjąć decyzji. W moim przekonaniu był inteligentniejszy od Piłsudskiego. Bardzo żywa inteligencja. Pamiętam chociażby korespondencję Sosnkowskiego z Raczyńskim – którzy się tak samo przyjaźnili – prowadzoną przez 1940 r. Jego ocena sytuacji i przewidywania na przyszłość były rzeczywiście świetne. No, ale Sosnkowski nigdy nie umiał się zdobyć na żadną decyzję. To był typowy Hamlet. I jak wybuchło powstanie warszawskie, dla mnie to była zbrodnicza historia, poszedłem do Sosnkowskiego z propozycją, żeby skakał na Warszawę. Uważałem, że trzeba ratować legendę Wojska Polskiego i legendę Naczelnego Wodza. Legenda odgrywa ogromną rolę. Wie Pani, ja tutaj wzorowałem się na Piłsudskim. Pewne rzeczy, wyglądające romantycznie, są bardzo przyziemne, że tak powiem. Podchodzę do tego bardzo realistycznie. Ja mu tłumaczyłem, że to jest konieczne dla przyszłych pokoleń. Żeby legenda została i żeby w tej zniszczonej Warszawie obok trupów akowskich, były też polskie "Polandy" – te naszywki.

– *Wysyłał go Pan na pewną śmierć.*

– Niewątpliwie tak. Ja mu zresztą powiedziałem, że lecę z nim. No, więc całe popołudnie, w ten upał, wypiliśmy chyba ze dwie butelki Cinzano, w rezultacie po wielkich dyskusjach Sosnkowski powiedział: "Dobrze. Ja to akceptuję". Ja byłem uszczęśliwiony. Na drugi dzień Sosnkowski już mnie nie przyjął.

– *Czy wtedy już Pan wiedział, że to jest sprawa przegrana?*

– Nie miałem wątpliwości od samego początku, że to jest prowokacja sowiecka. Oni chcieli doprowadzić do tego, żeby wykrwawić Warszawę rękami niemieckimi. To było zupełnie jasne. I czekanie na pomoc ze strony sowieckiej było wielką naiwnością. To było zbrodniczne – skutki powstania ponosimy do tej pory. Przecież zginęło całe pokolenie. Świetne pokolenie, ja już nie mówię o stratach kulturalnych, ale całe pokolenie świetnych ludzi, których po wojnie zabrakło.

– *Ale oni i tak poszliby się bić.*

– Ale nie byłoby takiej hekatombi.

– *Właśnie dlatego, że to było świetne pokolenie, uformowane w II Rzeczypospolitej i tak poszliby się bić.*

– Nie, nie, proszę Pani. Oni mieli jednocześnie duże poczucie dyscypliny, przecież miałem dużo znajomych wśród akowców. Przecież powstanie było raz odwołane i przesunięte i oni wykonali to bez sprzeciwu. Tak, że gdyby były tego rodzaju polecenia, to oni by je wykonali. Tym bardziej przy braku orientacji tego całego dowództwa. Bór-Komorowski i inni liczyli, że powstanie potrwa dwa, trzy dni, prawda?

– *Liczyli przecież na pomoc z Zachodu.*

– No, tak. Doskonale wiedząc, że ta pomoc nie nadejdzie. Może byli fałszywie informowani. Robiono im niepotrzebną nadzieję. Mieli poza tym swoją wtyczkę w osobie płk. Tatara, który objął tzw. Oddział VI u Kopańskiego [Stanisław, generał, dowódca Brygady Karpackiej], i który jednak był zwolennikiem współpracy polsko-sowieckiej. Był zwolennikiem pójścia na współpracę z reżimem komunistycznym.

– *Kto ponosi odpowiedzialność za klęskę powstania?*

– No, przede wszystkim Sosnkowski, jako Naczelnny Wódz, że nie zapobiegł zawniesi, że nie zakazał powstania. Niepotrzebnie dawano zbyt optymistyczne meldunki. Na tym wszystkim ogromnie zaciążyła śmierć Grota-Roweckiego. To był jedyny rozsądny człowiek, który te rzeczy doskonale rozumiał. Nie mówiąc o tym, że Rowecki był jedynym polskim wojskowym, który jeszcze przed wojną pracował nad metodami walki w mieście. Bezpośrednio przed wojną wydał książkę na ten temat. A my byliśmy zupełnie nieprzygotowani. Jeden z moich kolegów korporacyjnych pracował w magistracie w Warszawie i w jego referacie były materiały dotyczące wszystkich podziemi i kanałów w mieście. I wiem, że on to wyjął, żeby nie trafiło w ręce niemieckie i przekazał jakimś władzom wojskowym. I to zupełnie nie było wykorzystane. A przecież można to było doskonale wykorzystać i w sensie komunikacji, i dla transportu, i magazynowania broni, czy coś takiego. Takich podziemi było w Warszawie bardzo dużo. Na przykład na terenie Świętego Łazarza [szpital przy Książęcej] to był duży teren; tam był meczet i lochy prowadzące gdzieś za Wisłę, których właściwie nikt dokładnie nie zbadał.

– *Pod Wisłą lochy?*

– Tak, tak. Z całą pewnością. Mnie to też swego czasu interesowało jako ciekawostka. Ale dają to jako przykład, że te rzeczy nie były brane pod uwagę dlatego, bo to przekraczało wyobraźnię zawodowych oficerów.

– *A co wpłynęło na Pana decyzję, żeby po wojnie do Polski nie wracać?*

– Ja po prostu wiedziałem, że mam wyrobioną w Polsce markę przez swoją działalność antysowiecką czy antykomunistyczną. Mogłem się spodziewać tylko aresztowania, gdybym wrócił. Nie mówiąc o tym, że uważałem, że trzeba coś zrobić na zewnątrz, bo nie wierzyłem ani w trzecią wojnę światową, ani w normalizację stosunków, czyli politykę Mikołajczyka.

– *Nie żałuje pan tego?*

– Bynajmniej, nie żałuję. W kraju nie mógłbym nic zrobić. Albo bym się miotał gdzieś we wszystkich tych rozgrywkach wewnętrznych, bardzo jałowych, na które nie miałbym żadnego wpływu, a znakomicie byłbym unieszkodliwiony w swojej działalności. A tu mam całkowitą niezależność w działaniu. To jest najważniejsze. Kwestia niezależności jest niesłychanie ważna. Niestety, niedoceniana przez Polaków, którzy zawsze szukają jakiegoś oparcia, jakiegoś związania się z kimś. Czy to będą Francuzi czy Amerykanie, CIA, czy coś takiego.

– *I dlatego wolał Pan zostać w Maisons-Laffitte pod Paryżem. Czy to miejsce stanowi jakąś cesurę w Pana życiu? Czy to jest tak, że przed Maisons-Laffitte mógł Pan robić wiele różnych rzeczy, a osiedlenie się tutaj było przysłowiową klamką, która zapadła – mógł Pan już być tylko i wyłącznie Redaktorem?*

– Nie. Osiedliłem się w Maisons-Laffitte wtedy, kiedy już wyraźnie ustaliłem swoje cele i zadania. To nie było tak, że ja miałem jakieś inne możliwości, zresztą ich nie szukałem i praktycznie biorąc – nie było ich. To miejsce niczego nie zmieniło, dlatego że decyzja zapadła w Rzymie – to znaczy stworzenie Instytutu Literackiego i "Kultury". I to było dla mnie decydujące. I to był moment przełomowy. Innych zresztą możliwości nie widziałem. Kwestia powrotu do kraju w ogóle nie wchodziła w rachubę, a gdzie indziej nie widziałem jakiegokolwiek pracy. Nie tylko działania, ale umiejscowienia się, zarabiania, czy coś takiego.

– *Większość Polaków wybrała jednak Stany Zjednoczone i Anglię. A jeśli Francję, to Paryż. A Pan postanowił zamieszkać w takim malutkim, sennym miasteczku pod Paryżem, w Maisons-Laffitte ?*

– Nie wybrałem Maisons-Laffitte, ja w zasadzie wybrałem Francję. Po prostu dlatego, że to jest kraj znacznie bliżej położony Polski, z którego kontakt z Polską wydawał mi się znacznie łatwiejszy, ale przede wszystkim dlatego, że tu miałem punkt zaczepienia – Józefa Czapskiego i jego placówkę. Nawet dom, w którym mieszkał na Korneju, w Maisons-Laffitte. Tak, że jest to kwestia przypadku.

– *Wacław Zbyszewski napisał: "Stara rudera z wieżyczką, balkonem, tarasem, oszkloną werandą". Nie był to specjalnie pociągający widok, a jednak nie tylko Pan postanowił w jakiś sposób "oblaskawić" to miejsce, przygotować do wspólnej pracy.*

– To było tych parę osób, z którymi rozpocząłem całą robotę, to znaczy Hertzowie, Józef Czapski i z pewnym opóźnieniem mój brat [Henryk Giedroyc]. To był taki bardzo szczupły zespół początkowo.

– *I od początku wiedzieli i akceptowali to, co ich tutaj miało czekać?*

– Tak, tak. Oni byli na to przygotowani, zdając sobie sprawę, że to nie będzie łatwe. Z ich strony to była decyzja bardzo bohaterska, bo powiedzmy sobie, Zygmunt Hertz dzięki swemu ojcu miał bardzo duże możliwości znalezienia doskonałej pracy w Solveyu czy jakichś gospodarczych instytucjach międzynarodowych. Dla niego to była w dużym stopniu rezygnacja z możliwości dużo ciekawszego czy wygodniejszego życia.

– *I nie musiał Pan nikogo namawiać?*

– Ja nie namawiałem zupełnie nikogo. To są rzeczy, do których nie można namawiać. Między innymi w Rzymie współpracował jeszcze ze mną Gustaw Herling-Grudziński, który nie zaryzykował tego skoczenia w ciemność. Bo to był skok w ciemność, dlatego że wyjazd do Anglii, do tego Korpusu Przystosowania, dawał możliwość przygotowania się w ciągu dwóch lat do życia cywilnego. W związku z tym miało się zapewnić jakieś warunki materialne i możliwość kształcenia się. A tutaj, poza tą niewielką sumą pieniędzy, jaką dysponowaliśmy po sprzedaniu kupionej w Rzymie drukarni Oggie, nie dysponowaliśmy niczym. Ja osobiście niczego się nie bałem, dlatego że jestem przyzwyczajony do jakichś takich ryzykanckich decyzji w swoim życiu. Najważniejsze dla mnie było to, żeby nie narażać swoich współpracowników.

– *Czuł się Pan za nich odpowiedzialny.*

– Niewątpliwie tak. Musiałem myśleć o ludziach, którzy mi zawierzyli i z którymi bardzo blisko współpracowałem.

– *Od czego zaczynaliście?*

– Zaczęliśmy od znalezienia lokalu, to znaczy przystosowania domu na Korneju do funkcjonowania, bo był to dom kompletnie zniszczony przez Niemców, którzy tam kwaterowali podczas wojny. No, a potem znalezienia drukarni i rozpoczęcia druku "Kultury". Od razu zdecydowaliśmy, że ograniczamy się wyłącznie do "Kultury", rezygnując z wydawania książek – założeniem Instytutu Literackiego w Rzymie było właściwie wydawanie książek, „Kultura” była takim, można powiedzieć, "kwiatkiem przy kożuchu". A to nie było łatwe.

– *Oczywiście. Wszystko to wymagało pieniędzy. Skąd pochodziły fundusze?*

– Mieliśmy do dyspozycji to, co uzyskaliśmy ze sprzedaży – za dosyć dobre pieniądze – drukarni Oggie w Rzymie. I po spłaceniu pożyczki wojsku, które nam pomogło w kupieniu tej drukarni, została nam dosyć okrągła suma, z którą mogliśmy startować.

– *To było wszystko. Żadnych dochodów.*

– Absolutnie żadnych! Rzecz była ułatwiona o tyle, w sensie życiowym, że byliśmy ciągle jeszcze w wojsku i ciągle jeszcze płacono nam żołd. Mieliśmy tzw. suchy prowiant, który nam wojsko dostarczało, dlatego że sytuacja we Francji była bardzo ciężka.

– *No, właśnie. Było ciężko. Czy był ktokolwiek, kto udzielał pomocy ?*

– W pierwszym okresie głównym oparciem dla nas był Józio Czapski. No i jego kontakty francuskie, które miał bardzo duże i które nam w znacznym stopniu ułatwiały życie. A druga rzecz – to Księgarnia Libella, stworzona z inicjatywy II Korpusu, Czapskiego i mojej zresztą też, jak byłem jeszcze w wojsku, która zaczęła swoją działalność, operując całym stosem książek, które wydawał II Korpus. A dzięki temu mieliśmy przykrywkę. Początkowo "Kultura" nie miała praw wydawniczych i musieliśmy korzystać z księgarni. We Francji księgarnie mają prawo wydawania książek. Tak więc to nie wymagało jakichś specjalnych umów.

– *Pierwszy zeszyt "Kultury" ukazał się w Rzymie w czerwcu 1947 r. i było to efektem rozmów Pana, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Zofii Hertz.*

– Tak. Myśmy dyskutowali i ja początkowo patrzyłem na to dosyć krytycznie, dlatego że byłem nastawiony wyłącznie na książki, no ale potem mnie przekonali i to zaczęło funkcjonować wcale dobrze.

Jeśli idzie o "Kulturę", to miało to być pismo czysto kulturalne, a ustalenie definitywnego kształtu "Kultury" nastąpiło tutaj w Maisons-Laffitte, jak już przenieśliśmy się. Obliczyliśmy, że książek nie będziemy wydawali, bo nie mamy na to pieniędzy, i wobec tego ograniczymy się do samej "Kultury", którą przekształcamy w periodyk, miesięcznik.

– *Jakie warunki musieli spełniać ludzie piszący dla "Kultury"? Jakie były kryteria, które Pan stosował?*

– Przede wszystkim zacząłem mobilizować wszystkich ludzi, z którymi się przyjaźniłem, którzy pracowali ze mną przed wojną. Znalazłem adres Gombrowicza, Straszewicza [Czesława]. A poza tym kwestia talentu, to dla mnie zawsze było jedyne kryterium. Czy człowiek ma coś do powiedzenia, czy nic.

– *A poglądy polityczne?*

– Nie. No, może z jednym wyjątkiem – na pewno nie endeków, nie żadnych nacjonalistów. Poza tym nie było jakichś klauzuli dyskwalifikujących.

– *Zakładał Pan, że "Kultura" nie będzie pismem ideologicznym, a jednak wywierała ogromny wpływ na Polskę w czasach komunistycznych.*

– No, po to powstała. Staraliśmy się, ale to nie jest kwestia ideologii, dlatego że ja jestem wielkim pragmatystą. Właściwie zagadnienia ideologiczne w bardzo małym stopniu mnie interesują. Ale po to powstała. Głównie szło o to, żeby oddziaływać przede wszystkim na Polskę, a dopiero potem na emigrację. W jakim stopniu to się udało – trudno powiedzieć. Niewątpliwie udało się to, że społeczeństwo zaakceptowało dzisiejsze granice i to jest właściwie największy, największy może nasz dorobek.

– *Wielokrotnie podkreślał Pan, że bez pani Zofii [Hertz] nie byłoby Maisons-Laffitte. I nie byłoby "Kultury".*

– Zosia była o tyle nieoceniona, że przede wszystkim zajmowała się rachunkami, buchalterią, tymi wszystkimi niesłychanie skomplikowanymi rzeczami. Ja do tej pory nie bardzo się orientuję w tych podatkach, w tym wszystkim. To już było na jej głowie. A poza tym, praktycznie biorąc, wszystko, dlatego że jednocześnie odgrywała rolę sekretarki redakcji, korektorki i prowadziła dom... Czyli eksperymentowała na naszych żołądkach, proponując te swoje eksperymenty kulinarne, które były czasami bardzo śmieszne.

– *To druga kobieta, która w zdecydowany sposób wywierała wpływ na to, co Pan robił. Bo była przecież wcześniej Maja Prądyńska, współpracująca z Panem w "Buncie Młodych".*

– Tak, tak. Obie były bardzo cenne. Wszystko było trochę inaczej, dlatego że jeśli idzie o Maję Prądyńską, to dla mnie była ona ważna, niezależnie od tych wszystkich funkcji redakcyjnych. Dzięki niej miałem bardzo dużo kontaktów politycznych. Jej siostra była żoną Adama Skwarczyńskiego, tam był potem gen. Skwarczyński (Stanisław) czy płk Wenda (Zygmunt), którzy potem byli dla mnie bardzo cenni. To jest właśnie ten kapitał, którego Zosi brakowało: jakichś powiązań politycznych, którymi nie dysponowała. No, ale poza tym – rzeczywiście niezastąpiona! Moja ogromna korespondencja – ja piszę okropnie, jak kura pazurem, a poza tym bardzo źle piszę na maszynie, to jeszcze rosło z wiekiem – przecież te wszystkie listy były pisane z nią.

– *Pan dyktował, a pani Zofia pisała?*

– Tak. To było właśnie bardzo inteligentne, nie czysto mechaniczne. Ona tam się wtrącała, miała swoje uwagi itd., niektóre bardzo trzeźwe i to zawsze dla mnie było bardzo cenne. Takie skontrolowanie tego, co się dyktuje. Bo to jest bardzo trudne. Ja niewiele sam piszę, ale u mnie to jest inna procedura. To znaczy, że ja najpierw sam sobie robię jakiś taki tekst, co mi przychodzi z dużym trudem zresztą, dopiero później dyktuję Zosi czy teraz Agnieszce (Szypulskiej).

– *Czy w Pana myśleniu o Instytucie, o wydawaniu "Kultury" było nawiązanie – emocjonalne, sentymentalne – do Wielkiej Emigracji skupionej wokół księcia Czartoryskiego?*

– Nie. Jedynym wzorem była działalność Czartoryskiego na terenie międzynarodowym, cały szereg inicjatyw, które podejmował z dużym uporem i dużą dozą wyobraźni. Natomiast skupienie emigracji... Polacy byli skłóceni wtedy tak samo jak dzisiaj. W każdym razie dla mnie wzorem jest jego polityka zagraniczna, a przede wszystkim jego zainteresowanie wschodnimi sprawami.

– *I poszedł Pan tym śladem?*

– Nie, po prostu to był pewien wzór. Tak, jak idzie o moją politykę wschodnią czy narodowościową, takim wzorem byłby marszałek Piłsudski. Ale tylko jako wzór! A nie pójście jego śladami. My podchodzimy do tych spraw zupełnie inaczej, niż on sobie planował. Nie myślimy o żadnych federacjach – uważamy to za całkiem nierealne. Nam zupełnie wystarczy pilnowanie, aby kraje wschodnie – jak Ukraina, Białoruś czy kraje bałtyckie – po prostu istniały jako kraje niepodległe. We współpracy z nami, oczywiście, ale w sensie partnerskim, bez jakichś więzi. Musimy ciągle pamiętać, że wśród tych krajów nie mamy najlepszych notowań. Wszystkie nasze inicjatywy historyczne, z których jesteśmy bardzo dumni, jak unia horodelska, tam jest to odbierane jako polski imperializm. Myśmy w rezultacie spolonizowali całą rządzącą warstwę litewską. Do tego stopnia, że odrodzenie Litwy i jej świadomości narodowej, a nawet języka, który zachował się tylko na wsi – to dopiero sprawa XIX wieku. Oni do tej pory to odczuwają. Bardzo się boją bliższej współpracy, bojąc się po prostu atrakcyjności kultury polskiej.

– *Ale myśmy przecież nie polonizowali Litwinów na siłę. Oni sami tego chcieli, sami się garnęli. Tu był dla nich Zachód i to była cywilizacja!*

– Nie. Nie na siłę. To jest po prostu kwestia atrakcyjności kultury polskiej. To jest fenomen, który mnie zawsze zastanawiał, że ten okropny naród jednak ma jakąś siłę przyciągającą. Proszę wziąć pod uwagę chociażby Niemcy. Miasta w Polsce były stworzone właściwie przez Niemców, prawda? I jednak wsiąkli ci wszyscy Gebethnerowie, nie Gebethnerowie – ma Pani setki nazwisk polskiego mieszczaństwa pochodzenia niemieckiego, którzy się całkowicie zasymilowali. To samo z problemem żydowskim. Przy całym polskim antysemityzmie, jednak

wpływy zasymilowanej inteligencji żydowskiej były bardzo wielkie i odgrywały ogromną rolę. Nie wyobrażam tego sobie, ale gdybyśmy wyeliminowali ludzi pochodzenia żydowskiego z polskiej kultury, to wyglądalibyśmy bardzo mizernie.

– *To prawda, ale jednocześnie, Panie Redaktorze, czy my nie przesadzamy z tym polskim antysemityzmem? Boję się tego, że jeżeli ciągle się mówi, że Polacy są antysemitami, że "Polacy wyskali antysemityzm z mlekiem matki" – jak niektórzy uparcie powtarzają – to utwierdza się ten antysemityzm.*

– Trudno powiedzieć, ten antysemityzm jest jednak wrośnięty i najlepszy dowód, że mimo iż dzisiaj w Polsce praktycznie Żydów nie ma, antysemityzm kwitnie.

– *Obawiam się, że ciągle jest podsypany przez jakieś dziwne elementy...*

– Nawet nie dziwne. Tutaj bardzo niedobłą rolę odegrało również polskie duchowieństwo, które nie potrafiło z tym walczyć. No i ma się rozumieć, jeśli idzie o nowsze czasy, to jest również kwestia Żydów amerykańskich i w ogóle antypolonizmu wśród żydostwa na świecie. Specjalnie żydostwa amerykańskiego, które jest bardzo silne i które bardzo utrudnia. Już parę razy wspominałem, że mamy pod tym względem bardzo niedobre doświadczenia.

W 1939 r., kiedy pracowałem w Ministerstwie Przemysłu i Handlu – w maju 1939 – jeździłem z moim ministrem na rokowania handlowe do Stanów Zjednoczonych. Szło o uzyskanie kredytów na rozbudowę rzemiosła galanterii skórzanej. To była zawsze specjalność austriacka, czeska itd. – no, była specjalnością żydowską. Po zajęciu tych krajów przez Hitlera otworzył się bardzo duży rynek zbytu, który mogliśmy wykorzystać, dlatego że u nas tak samo Żydzi odgrywali bardzo dużą rolę w tym rzemiośle, w galanterii skórzanej, w Wilnie, zresztą nie tylko w Wilnie. I ta koniunktura była bardzo duża, szło więc o rozwinięcie tej historii. Zależało nam, żeby uzyskać jakieś kredyty od organizacji amerykańskich – żydowskich – na rozbudowę tego przemysłu. Te rozmowy były bardzo trudne, ale jednak w rezultacie oni powiedzieli: "Dobrze, my wam damy..." – dziś już nie pamiętam, jaka to była suma, piętnastu czy kilkunastu milionów dolarów – "...ale pod jednym warunkiem, że rząd polski zobowiąże się, że nie będzie popierał imigracji Żydów z Polski do Stanów Zjednoczonych". Na nasze zdumienie odpowiedzieli zupełnie cynicznie: "Polscy Żydzi z getta, ci Żydzi »kapotowi« w Ameryce powiększają antysemityzm amerykański. My tego nie chcemy" – my r tego nie chcemy, prawda?

Drugi taki przykład też bardzo charakterystyczny: w czasie wojny do Stępowskiego – który był w Szwajcarii i miał swoje dobre stosunki ze Szwajcarami, a przede wszystkim bardzo był ceniony czy lubiany przez Żydów, dlatego że miał bardzo liberalny stosunek do mniejszości, a specjalnie do Żydów – oni zwrócili się z prośbą, żeby z jakiegoś obozu koncentracyjnego niemieckiego wyostał jakichś pięciu czy dziesięciu – już dzisiaj dokładnie nie pamiętam – działaczy żydowskich. W Szwajcarii była wtedy jakaś taka maleńka i nie bardzo poważna szwajcarska organizacja hitlerowska, która nie odgrywała żadnej roli. Natomiast cieszyła się bardzo wielkim poparciem Niemiec. No więc Stępowski trafił do nich przez jakieś znajomości i oni postanowili zrobić wielki gest. Po prostu przysłali cały obóz, a to było paręset osób. I Stępowski zamiast podziękowania został zwymyślany: "Myśmy pana prosili o tych parę osób! Co będziemy robili z tymi ludźmi, których pan nam zwała na głowę".

Więc to jest problem. I to wiemy z doświadczenia, może nie własnego, ale doświadczenia Karskiego, że organizacje żydowskie w Stanach Zjednoczonych odnosiły się z kompletną obojętnością do tego, co się działo w Polsce, i uważały, że są to rzeczy niesłychanie przesadzone i nie odgrywają żadnej roli. Ja pamiętam, jak już po wojnie zaczęli przyjeżdżać tutaj ludzie ze Stanów Zjednoczonych. Przywódcy Polonii amerykańskiej, którzy tutaj byli przejazdem – jechali do Niemiec w przekonaniu, że to wszystko jest bujda. Te obozy, to wyniszczanie, palenie ludzi itd. Dopiero po pobycie w Niemczech przekonali się, że to rzeczywiście istniało. Tak że to są rzeczy do przełamania niezmiernie trudne. W każdym razie ta atrakcyjność polska jest bardzo duża. No i w pewnym sensie, powiedziałbym, że to jest nawet

rzecz pożyteczna dla Polski, że Polacy właściwie są mieszańcami. Widać to na każdym kroku, czy wziąć Miłosza, czy mnie – jesteśmy z pochodzenia Litwinami i w pewnym sensie czujemy się Litwinami. Tak samo ma Pani Tuwima, nie Tuwima, ludzi którzy bynajmniej nie wyrzekali się swego pochodzenia żydowskiego, ale czuli się stuprocentowymi Polakami czy polskimi patriotami.

– *Czy był moment jakiegoś poważnego zagrożenia dla "Kultury"?* – Nie, ale właściwie myśmy byli w stałym zagrożeniu finansowym. Jestem bardzo przyzwyczajony do ryzykanckich decyzji w swoim życiu, ale kto wytrzymałby konieczność tej stałej zebranych, ciągłego martwienia się, czy będą pieniądze na następny numer itd. To były główne zmartwienia. Ja muszę powiedzieć, że różnych talentów nie posiadam, ale jeden mam. To znaczy powinienem być ministrem skarbu w każdym bankrutującym kraju, dlatego że ani razu nie była opóźniona "Kultura" . Mimo wszystkich kłopotów. Zawsze coś się wygospodarowało, jakieś pieniądze. To jest mój talent. Ale to jest, było i jest moim koszmarem. Jeśli Pani weźmie moją korespondencję – to ciągle, ciągle sprawy finansowe, które dominują. Wyobrażam sobie, że gdybym miał sto tysięcy czy milion dolarów, no to z takimi pieniędzmi można robić rewolucję światową, prawda? Wtedy wszystko byłoby bardzo łatwe. Ale robić to wszystko bez pieniędzy, to już jest rzeczywiście bardzo trudne.

– *Myślałam o trochę innym zagrożeniu. W listopadzie 1952 r. w "Kulturze" ukazał się list kłeryka seminarium w Pretorii, Józefa Majewskiego. No i wywołał duży skandal, ponieważ napisał, że ani Wilno, ani Lwów nigdy nie były rdzennie polskimi miastami i że ta ziemia nigdy nie była rdzennie polska. To była dla Polaków bardzo świeża i bolesna rana. Od zakończenia wojny i utraty tych miast upłynęło raptem parę lat. Dużą odwagą było opublikowanie tego tekstu.*

– Ryzyko było niewątpliwie bardzo duże, ale w sumie okazało się nie takie straszne. To jest właśnie bardzo charakterystyczna cecha polska, jedna z nielicznych polskich pozytywnych cech: to jest naród, któremu można mówić prawdę w oczy, przykrą prawdę w oczy. I oni to jednak wytrzymują. Pierwsze oburzenie było, no, taką pianą, niezbyt gwałtowną. Straty były bardzo niewielkie. Kilkanaście prenumerat chyba odpadło, kiedy myśmy ogłosili ten Lwów i Wilno, ale za to zyskaliśmy innych czytelników, inteligencję ukraińską.

– *Rozumiem, że Pan opublikował ten list, będąc głęboko przekonany, że jest w nim zawarta prawda historyczna. Pan jest z pochodzenia, z krwi Litwinem czy też pół Litwinem i to jest zrozumiałe. Natomiast Pana sentyment do Ukrainy, Pana zrozumienie dla tych ludzi żyjących na Zachodniej Ukrainie, Pana troska o nich jest niebywała. Jakie są tego przyczyny?*

– Nie, proszę Pani. To są rzeczy czysto wyrozumowane. Ja nie mam, mówiąc między nami, jakiegoś specjalnego sentymentu do Ukraińców czy do Ukrainy. Mam pewien sentyment do Litwy. Ale ja się w ogóle czuję człowiekiem wschodnioeuropejskim.

– *Wielokrotnie zdarzało się, że potrafił Pan przewidzieć w jakiś nadzwyczajny sposób rozwój sytuacji politycznej. Często po latach dopiero okazywało się, że Pan miał rację. Pan namawiał, nakłaniał do nawiązywania pewnych stosunków, prowadzenia pewnych spraw międzynarodowych w taki, a nie inny sposób, twierdząc, że Pan wie, jak to się skończy. Jeszcze w latach trzydziestych przewidział Pan rozpad Związku Sowieckiego. I rzeczywiście tak się stało – trochę czasu upłynęło, ale się stało. Teraz ma Pan szczególny pogląd na stosunki polsko-ukraińskie, polsko-białoruskie.*

– To jest problem niesłychanie trudny, dlatego że – trzeba sobie powiedzieć – Ukraińcy nie mają tradycji państwowej i to jest kraj, którego niepodległość jest pod ciągłym zagrożeniem. I to nie tylko z powodu Rosji, czy coś takiego, ale z powodów czysto wewnętrznych. To znaczy - jest duży procent Ukraińców zrusyfikowanych czy obojętnych narodowościowo i jest kwestia, żeby z tych ludzi zrobić Ukraińców niepodległościowców. To przede wszystkim, jeśli idzie o

Ukrainę, chodzi o powiązanie Ukrainy z Europą, o nacisk na stronę zachodnią w kulturze ukraińskiej, a nie na tradycje wschodnie. Bo jednak te tradycje są dosyć silne. Jeszcze sięgające bardzo dawnych czasów średniowiecza. I trzeba te rzeczy po prostu odgrzać. Jeszcze trudniejsza sytuacja – to jest Białoruś. Ten naród trzeba dopiero formować.

– *Jakie zadanie dla Polski widzi Pan w tym procesie?*

– Pomaganie im w tym.

– *Jak?*

– Najważniejsze to jest kwestia działalności kulturalnej. To, co daje dobre rezultaty – wiem to z własnego doświadczenia, to jest staranie się o stypendia dla tych ludzi, żeby przyjeżdżali do Polski czy w ogóle na Zachód. Powiedzmy, ułatwianie im kontaktu z Zachodem. Tu wielką pomocą jest dla mnie prof. Ratajczak z tutejszej Stacji Akademii Nauk, który te rzeczy doskonale rozumie i tych wszystkich Białorusinów, Ukraińców, którzy tutaj przyjeżdżają, kontaktuje z Francuzami. Ponieważ jest on bardzo wybitnym chemikiem i ma pewną pozycję w międzynarodowym środowisku naukowym, to mu przychodzi z dużą łatwością. I to jest dla nich bardzo cenne i oni to bardzo doceniają.

– *Czyli przez kulturę budować stosunki międzynarodowe, polityczne także.*

– Tak. Tak samo. To jest metoda, w moim przekonaniu, najskuteczniejsza. Ja to stosuję wszędzie, z Rosją przede wszystkim.

– *Ale z Białorusią utrzymanie dobrych stosunków, nawet tylko na płaszczyźnie kulturalnej, jest ciągle utrudniane. Tam jest ciągle Łukaszenko...*

– Wie Pani, to trudno powiedzieć... Łukaszenko jest – jaki on jest dyktator, nie dyktator, co tu dużo mówić – jego rzeczywiście większość Białorusinów popiera. To nie jest człowiek, który rządzi, bo siedzi na bagnietach, czy coś takiego. On jest rzeczywiście, specjalnie we wschodniej Białorusi, swój człowiek... Oni go rozumieją. Tak że walka z Łukaszenką to jest właściwie walka o zachodnią kulturę Białorusi. To jest człowiek bardzo zręczny. Najlepszy dowód, to chociażby jego zachowanie w czasie Roku Mickiewiczowskiego, który rzeczywiście na Białorusi był znakomicie zorganizowany. Odnowiony Nowogródek, pomniki Mickiewicza w Mińsku i Nowogródka itd. To trzeba bardzo cenić. Tak samo muszę powiedzieć, jako rzecz skuteczną, że ostatecznie moja działalność w Mińsku jest całkowicie legalna. Organizowanie wystawy w Mińsku było – można powiedzieć – z udziałem władz, telewizji, radia itd... Czy, powiedzmy, ten numer "Kultury" w języku białoruskim. Dlatego nadawanie temu charakteru kulturalnego chroni, a jednocześnie jest najskuteczniejsze.

– *A co uważa Pan za swój największy sukces?*

– No, normalizację stosunków polsko-ukraińskich. Na początku wszystko bardzo kulało, ale w zasadzie zostało przez społeczeństwo zaakceptowane. To znaczy, może ten najsilniejszy patriotyzm lwowski ciągle istnieje, ale już nie ma charakteru agresywnego. Wspomina się z tęsknotą, nostalgią o Lwowie, ale już nie ma dzisiaj ludzi, którzy by chcieli walczyć o polski Lwów, prawda?

– *I Pan się do tego przyczynił?*

– Myślę, że w dużym stopniu tak.

– *Użył Pan kiedyś takiego określenia, mówiąc o Polsce: "Obiekt grozi zawaleniem". Czy dalej jest Pan niespokojny o przyszłość Polski?*

– No, patrzę na przyszłość Polski z niesłychanym pesymizmem i bardzo się boję, czy Polska utrzyma swoją niepodległość. To jest społeczeństwo zdziczałe. Dzisiaj jedyna szansa ponieważ stawałem na młode pokolenie, które jest na swój sposób interesujące, ale które zajmuje się

wyłącznie własnymi sprawami i sprawy ogólne czy państwowe w ogóle ich nie interesują, bo uważają politykę za rzecz bardzo brudną, którą się nie należy zajmować – tak że dzisiaj te niewielkie nadzieje, jakie mam, łączę z młodzieżą szkolną, którą spotykam dosyć często. Widzę młodych chłopców i młode dziewczęta, które coś interesuje. Niewiele wiedzą, ale chcą się dowiedzieć i wyklócają się. To nie to, że oni przychodzą do jakiegoś autorytetu itd., żeby słuchać i pić z jego ust. Nie! Oni się wyklócają. Ale w sposób inteligentny, świadczący o tym, że coś im chodzi po głowie. Jeżeli oni się uchronią od tej ogólnej demoralizacji, która panuje dzisiaj w naszym społeczeństwie, no to jest jedyna nasza szansa.

W tym społeczeństwie nie ma żadnej woli walki. Ja nie jestem militarystą, ale jaki jest stosunek do służby wojskowej, prawda? Kto tylko może, to się wykręca, a nawet wykupuje. Już nawet są ogłaszane cenniki, ile kosztuje niesłużenie w wojsku. Wojsko jest jednak nie tylko potrzebne, ale to jest pewna szkoła. Ja w wojsku nigdy nie byłem, poza samą wojną, uważałem, że to jest strata czasu, no, ale doceniałem znaczenie i rolę wojska.

– *Jak Pan sądzi, czy Polska łagodnie, kiedy przyjdzie właściwy czas, wejdzie w struktury europejskie i zacznie funkcjonować w rodzinie państw europejskich na równych ze wszystkimi prawach?*

– Nie, nie... Tu mam poważne wątpliwości. Uważam, że Polska powinna wejść do Unii Europejskiej i uważam to za pewną konieczność, ale czy potrafi ona odegrać jakąś rolę w Unii Europejskiej? Czy potrafi – już nie mówię o wyciągnięciu korzyści dla nas – wpłynąć na kształtowanie się tej Europy? Całe nasze społeczeństwo i cała nasza polityka zagraniczna tak samo, stawia wyłącznie na Amerykę. Jesteśmy coraz bardziej traktowani tak, jakby Polska była koniem trojańskim w Europie. I zaczyna się patrzeć na nas z pewną nieufnością. Albo więc jesteśmy proamerykańscy, albo jesteśmy Europejczykami. A to znaczy, że musimy jednak liczyć się z Europą i działać w jej ramach, a nie dopuszczać, żeby zawsze decydujący był głos amerykański, choć jest on bardzo ważny dla nas. Ja tego bynajmniej nie kwestionuję. Ja nie mam nastawienia antyamerykańskiego. Wręcz przeciwnie. Ale nie należy być kolonią amerykańską. Jest za mało samodzielności. A to: "Nas na to nie stać", "Jesteśmy małym krajem". Nieprawda! Ważne jest, żeby mieć jakąś koncepcję i wiedzieć, do czego się dąży i wtedy się to realizuje, prawda? To jest tylko kwestia polityki.

No, nie będę siebie stawiał za przykład, ale dwadzieścia lat temu, czy powiedzmy trzydzieści, masę ludzi dosyć się śmiało z tych moich rozmaitych pomysłów i projektów. Nawet wśród moich najbliższych współpracowników, jeżeli Pani weźmie korespondencję Zygmunta Hertza z Miłoszem, to widać, jak poczciwy Zygmunt patrzył na to z ogromnym sceptycyzmem. Na to, co ja robię. Że ja sobie maluję takie parawany, które mi zasłaniają rzeczywistość. A ja mam tylko namalowane na tym parawanie to, co chciałem, żeby było.

No i jednak okazuje się, że można było do jakichś rezultatów dojść. To samo w polityce państwowej. Trzeba mieć jakąś koncepcję i z uporem dążyć do jej realizacji.

– *Z czego jest Pan najbardziej zadowolony w swoim życiu, a czego Pan żałuje?*

– Zadowolony – to trudno powiedzieć. Ja nie jestem zadowolony, dlatego że to wszystko jeszcze jest niedokończone, niedopracowane. Bardzo się boję i mam ciągle to poczucie, że już nie zdążę tego bardziej ustabilizować, umocnić. To mnie tak najbardziej, najbardziej gnębi. No i poczucie, że to się wszystko skończy po mojej śmierci...

– *...że nikt nie będzie kontynuował. Czy Pan nie chciał sobie wychować żadnego następcy?*

– Nie. Mam antytalent do wychowywania, do oddziaływania. Wie Pani, ja nawet nie potrafiłem wychować Blacka [spaniel]. No, a żałować – tego jest może coraz mniej, ale czego żałuję? Braku życia osobistego.... To niewątpliwie bardzo odczuwam, specjalnie teraz w starszym wieku. Czuję się jak najbardziej samotny, tym bardziej że przecież w tej chwili nie ma dnia, żebym nie miał jakiejś wiadomości, że ktoś umarł. Przecież to się robi taka pustka naokoło, że

już nawet... Teraz Bączkowski umarł, wszyscy tak po kolei wymierają. Tak że to bardzo niedobra jest taka rzecz jak długowieczność, ma swoje złe strony również.

– *Ale Pan przecież świadomie wybrał taki styl życia, świadomie realizował Pan swoją pasję.*

– Tak, tak... ale nie przeszkadza to, że można tego żałować. Jest jedna rzecz – ja to zawsze mówię – że gdybym nawet zaczynał na nowo, to prawdopodobnie z niewielkimi różnicami, robiłbym absolutnie to samo. No, ale to już tego rodzaju formacja...

– *A czy spośród osób, które dzieliły tę Pana pasję, które tutaj w Maisons-Laffitte były, nie było nikogo, kto byłby godzien kontynuowania tej pracy?*

– Nie, nie, tylko nie było ludzi, którzy mieliby wystarczające kwalifikacje. Powiedzmy, człowiek, który mógłby te rzeczy kontynuować w sensie linii politycznej, jak choćby Mieroszewski, to jest człowiek w życiu praktycznym kompletne dziecko. Ja nie mam talentów organizacyjnych, ale mam dużo upor.

– *Czyli "Kultura" będzie dziełem jednego życia.*

– No, tak, ale to jest normalne. To jest normalne.

– *Czy upór to jest główna cecha Pana charakteru?*

– Chyba tak... Chyba tak.

– *I uważa ją Pan za pozytywną?*

– Raczej tak. Z tym że u mnie jest ona umiarkowana. To znaczy, wie Pani, nie należę do ludzi, którzy za wszelką cenę uważają, że mają rację i niczego nie zmieniają. Ja jestem człowiekiem, którego można bardzo łatwo przekonać i zmienić moje zdanie. Bardzo często, chociażby z Zosią, wyklócamy się okropnie i awanturujemy, ale bardzo często ja po prostu ustępuję, bo ona mnie przekonuje. Ale jednak bez upor niczego się nie zrealizuje. I tego jest najmniej. I to są moje pretensje chociażby do prasy czy do Michnika, że powiedzmy są jakieś skandale, które się wyciąga jako sensację na pierwszą stronę pisma i potem się zapomina. Trzeba tych rzeczy pilnować, jeżeli się poruszy ten skandal, to trzeba po paru miesiącach sprawdzić, jak to w tej chwili wygląda, co zrobiono. Czy zrobiono coś w tej sprawie, czy nic nie zrobiono. I robić coś na nowo. Nie dlatego, że już zrezygnowano, bo przychodzą nowe skandale, wobec tego to przysycha. Jest taką chwilową sensacją. To jest takie bardzo "czerwoniackie", ale zadaniem prasy jest właśnie wychowywanie tego społeczeństwa. Patrzenie rządzącym na ręce. Trzeba ich pilnować, a nie łatwo zapominać.

– *Co Pan naprawdę kochał w swoim życiu?*

– Bo ja wiem..., trudno powiedzieć. Ja mam bardzo obrzydliwy charakter, to znaczy jestem niesłychanym egoistą. Niepotrzebnie zbyt zimny w stosunku do ludzi. Uchodzę za człowieka bardzo uczynnego, ale to wynika z przyzwyczajenia, to jest to, że ja przez długi czas byłem sekretarzem ministra. Człowiek się na takim stanowisku przyzwyczajają do załatwiania rozmaitych spraw, robienia jakichś usług. Ale to jest rutyna i to we mnie zostało, ale nie ma tego odruchu jakiejś takiej spontaniczności i dlatego to jest właśnie takie bardzo egoistyczne.

– *A proszę powiedzieć, o czym Pan marzy.*

– Och, proszę Pani, to są marzenia, wie Pani, więcej niż skromne, marzę, żeby poleżeć gdzieś na piasku nad morzem i przeczytać kilkanaście książek, na które nie mam czasu. Bezinteresownie – książek, które wydaje mi się, że dla mnie mogłyby być bardzo ciekawe, a nie należą do literatury, że tak powiem, "obowiązkowej politycznej".

